

Parę kartek wydartych „z notat podróżnych”.

# PANTELIKON-MARATON-KRETA

przez

ERNESTA BUŁAWĘ

do X. X.

---

Żadałeś i żadałeś uporczywie kochany X., bym ci przesłał tych parę wrażeń z szerokiej całości mych pielgrzymek; — nie czekaj opisanie podróży — podróż kiedyś, później i w innej formie pragnąłbym opisać, jeśli to uczynię kiedy; to zaś są, ponieważ chciałeś je mieć, kartki luźne, spisane w czasie kiedy zsiadałem z konia po pięciu lub siedmiu godzinach podróży, między zachodem słońca a snem na podłodze lub stryszku, rzucane szybko i jeszcze realniej jak „Dichtung und Wahrheit“ z tą różnicą, że najprzód daleki jestem od pociągnięcia tej paralelli, a następnie, że prawdą jest i będzie dla mnie, piękność i ideał którego się szuka w życiu czy podróży, marą zaś i złudzeniem to, co szkielety sadłem oblepione zwa są lubą realnością, tak wieczną jak one same — długą na miarę żywota skoncentrowanego w swoim „Ja“ atomu, dokąd się razem w proch nie rozsypią. — Wtedy dopiero wraca ideał i staje jak geniusz na lwie spiącym, oparty u grobu człowieka, by już nie odejść lecz czuwać, aż do jego zbudzenia i kiedyś zapytać zbudzonego: „a co, czy to, co zwano realnością a co dziś prochem naszych sandałów, czy to, co zwano złudą a dziś grzmi trąbą sądu i gwieździ dusz aureolami, prawdą li jest? — W ten sposób mój dobry X. patrzę i czuję podróżując, nie jesteśmy pod tym względem tercją ani oktawą muzykalną, ale też i nie dyssonansem, więc mogę, Ci posłać tych kilka notatek, choć są tylko jak kilka piór z ptaka wyrwanych, a nie ptakiem samym, którym była podróż moja po szerokim świecie. Posyłam Ci je i dla tego, że coraz dalszy jestem od napisania jej, z coraz mniejszem ku niej zapalem, bo coraz lepiej znam skład chemiczny naszej publiczności,.....

Ateny 9. Września 1869. Rano o szóstej zbudziło mnie słońce wstające nad morzem, nim mnie zbudził Karakaczani. O siódmej przyprowadził dwa konie, z których jeden piękny i ładny szpak krwi turecko arabskiej zwał się Psari. Tego konia ulubiłem nad wszystkie, których używałem, jeden tylko, ten co mnie później niósł 12 dni przez puszcę do Palmyry, zdobył moje większe przywiązanie. Psari o długiej białej grzywie jak na powitanie zwrócił głowę ku mnie, rad — żem go ugłaskał i dobrze się z nim obchodziłem, co nie jest zwyczajem turystów, był też prawdziwym przyjacielem w całej mej podróży.

Karakaczani, Grek Agojata, którego powyżej opisałem, dziwny to skład wiedzy a niewiedomości; — czytać nie umie o historii niema pojęcia, ale ma tyle tradycji i doświadczenia wskutek mnóstwa podróży odbytych z artystami i uczonymi, że sam jest pouczającym. — W istocie zaledwo zbliżaliśmy się ku jakiej słynnej w dziejach okolicy i w dali dostrzegali jaki rąbek biały, lub szary głaz na górze, wyciągał ręce na koniu jak ptak skrzydła i głosem grubym wołał „antikita! antikita!“ i tak charakteryzował każdy zabytek, że tylko potwierdzenie słów jego nieraz znajdowałem w książkach przewodnich Joana i Murraya. Wskazawszy raz przedmiot i dowiódłszy że go zna, wpadał w zwykłą obojętność i stąpając na komiu, którego lejce wypuszczał prawie z ręki, śpiewał przez nos tak fałszywie zawsze to samo, że nie czułem czasem nerwów moich. Tuż obok mnie jadąc, niekiedy o parę kroków za mną, wyprowadzał mnie z miasta.

Ulicą Eola, potem bazarami między barwnym tłumem, oświeconym przez poranne słońce, wyjechaliśmy zwolna na szeroki gościniec, z którego widnokrag z razu jednostajny, podobny był w całości wielkiej do wypalanej pustyni — w szczegółach za to, od czasu do czasu uzupełniał się wielką malowniczością. Cały w srebrnych mgłach porannych nurzający się Akropol, niknął w złudzie promieni — tylko szczęty Partenonu i parę kolumn na niebie jak struny naprężone majaczyły w błękitach... morze ukryło się za wzgórzami a szorstki Lokabet ten stróż grodu Pallas Athenae, wszędzie nad nią wzrastający, wielki cień na nas rzucając, żegnał nas ostatni. W krótkce znikły Ateny, nastały rzadsze wille, i wśród częstych gajów oliwnych i krzewów mirtowych, droga słała się najmiłsza. Miąłem monaster Hagios Amatos, cichy i ustronny, gościnny a rubaszny; wszystkie monastery greckie które widziałem, od ich króla wielkiego Megaspilionu, aż do ich szlachcica Fana Rumeni na Salaminie, tę samą mają cechę, te same wady i przymioty... W godzinę malownicza wioska Ambelokypos, mała i ubożuchna — kolebka Sokrata i Aristidesa... dziś tylko cudzemiec zatrzymuje tu konia by uczcić pamięć waszą... o Sokratesie! — Dalej las oliwów i Kalandri — to kolebka Periklesa... opodal rozsiane małą falą wzgórze — klasztor Mandeli — i willa księżnej Fiacenzy,

która tak różne po sobie zostawiła wspomnienia. — Pókój tej niespokojnej duszy.. szlachetną była — i kochała ludzkość jak umiała — i mogła.

Zwolna poczęliśmy się wspinać na pierwsze wyżyny Pantelikonu; — szło to dość sporo i wesoło, widząc w dali Pantelikon rysujący się na niebie, pojąć niemożna dwóch rzeczy: najprzód jakim sposobem ta góra od wieków aż do dziś dnia wydała z łona swego taką masę marmuru, jakim sposobem z jej wnętrzości mogły powstać, Partenon, gmachy Erechtejonu, Nike Apteros i tyle posągów, aż do dzisiejszych gmachów jak nowe Warwakion, muzea i ciężki pałac królewski...., następnie jakim sposobem droga na tę górę z dali tak niepozorna, może być tak piekielną? Doświadczyłem tego wkrótce — wszelka zieloność i roślinność ustała — droga zaczęła być stroma i tylko nagi pożółkły marmur podzwaniał, iskrząc się pod rytmiczną podkwa mego Psari — dwie godzin trwała ta walka — miejscami po bryłach tylko świeżych i nieraz tracących równowagę pod kopytem konia, by w dół podudnić szła droga; wreszcie ciągle stąpanie po milionach kawałów i okruchów tego klasycznego marmuru, z którym pasowały się dłuta Fidiaszów i Praxytelów, z którego rodziły się kolumny Kalikratesa, wrastały aż na szczycie Bassae i Akrokoryntu, a z świątyni Jowisza Olimpijskiego powłókł ich dwieście Sulla okrętami. — Próżno szukałem ich w Rzymie... gdzie są...? Koń mój jak dzika koza stapał po okruchach marmurów, pyszniących się w blaskach słonecznych, przechodzących błyszczenie roziskrzonego cukru i barwy śniegu... stapał on z spokojem dziecka a pewnością wirtuoza do szczytu, jednakim ruchem, z wyciągniętą szyją i okiem przed siebie wyteżonem, by jeździec nie doznał szwanku, ostrożność z jaką stawiał kopyto na bryłach była tak rozumną, że kilka razy chwyciłem jego szyję i uściskałem. Wreszcie po dwóch godzinach droga zaczęła być niepodobną do jazdy, a choć Psari raz tylko utknął i to z mojej winy, zeskoczyłem zeń by wziąć kawał z tych świeżych okruchów do mojej mineralogji wspomnień — bo mam mineralogię wspomnień, tak, jak i ich botanikę z wszelkich miejsc, krajów, gruzów i gór. Upojony też już byłem widokiem i zsiadłem dla zawrotu głowy. Oto podemną zaczęła w całym majestacie rozstaczać się Hellada — morze — a podemną — jak na dłoni wielka płaszczyzna szmaragdowa o jednym kurhanie — wyciągnąłem ramiona i w błękity krzyknąłem jak dziki ptak: O Maraton!...

Jeszcze straszne półgodziny chwytania się kręwędzi marmurowych — i legliśmy swobodni i rozkoszni u szczytu. — Tu dopiero znać całą herkuliczność zapasów starożytnych z marmurem — tu cała wielkość łomów się odsłania, — widać żelazną wytrzymałość i zręczność osobliwą, z jaką z wnętrzości tej góry umiano dobyć i spuścić olbrzymie monolity... Oko i myśl zdumiewa się tym widokiem, — Obok poniżej mała grota stalakty-

towa, dziś spoczynek pasterzy o fezach malinowych, z freskiem o grubym Ikonie... Leżąc spokojnie u szczytu potoczyłem okiem po licach rozłożonej w koło mnie boskiej Grecji. — Zaprawdę, harmonja jest tajemnicą piękności — jak harmonja rysów stanowi piękność oblicza a harmonja tonów melodji — tak zestrojenie się pewnych linji w naturze, stanowi istotną piękność krajobrazu, i nie ogrom, nie przestrzeń, ale ta właśnie harmonja linji i światła, pewną, wyjątkową tylko piękność pewnych punktów na ziemi stanowi; — takim punktem w Grecji jest widok z Pantelikonu — wspanialej widziałem ją z Akrokoryntu, bardziej rzewnie z Akropolu, więcej pelazgicznie z Stymfale Bassae i Mokine — ale tak pięknej harmonijnie, z tym tonem historycznym Maratonu i całą poezją natury, nigdzie jej niewidziałem. Tylko pewne kraje, w pewnych miejscach tak mogą być widziane. Taką widziałem Grecję z Pantelikonu; — Włochy z chaty pustelnika w Capri; Hiszpanią z Torreladones i szczytu Gibraltaru; Szwajcarją z Rigi; Syrią od Cedrów z Libanu; Turcję z Bulgurlu; Palestynę z gór Tabor; Polskę ze szczytu tatrzańskiej Łomnicy. Wzrok z góry Pantelikonu puszczoney nurza się w światłach eteru słonecznego i ginie na dalekich horyzontach cała płaszczyna Attyki, pasmo Likabetu, Ateny, w dali Pireus i Salamina z Eginą, i zblękitniony Kyteron, dalej pasmo Parnesu, Hymet pszczołobrzęki ku Kap Suniom bieżący, a najdalej, za górami Lorionu we mgłach oddalone Cyklady, jak ostatnie pianissima tej harmonij światła i tonów...

U stóp zaś góry roztacza się Maraton amfiteatralnie rozpostarty nad morzem, które jak krągłem ramieniem obejmuje go i muska od wieków srebrnymi półkolami fal, konających wielkim wieniec u ziemi. To wieniec dla Maratonu! dzień i noc od wieków splata go morze! Już ze spadającym słońcem poczęliśmy schodzić, drogą na łeb na szyję — słońce obejrzało się ostatni raz na Maraton — i znikło w morzu — mgła opadła szczyty — wiatr zimny powiał z północy — w trzy godzin, dobrze po ciemku byłem w wiosce Wrana. Jest to częsta stacja zbójcka, nocowałem sam w małej chacie na ziemi, Agojata chrapał jak zabity a konie jedząc owies całą noc chrup, chrup, chrup, tuż nad moją głową; niemogąc spać z lekką gorączką z znużenia którą się tam ma ciągle, podawałem im siano i bawiłem się z nimi — nad ranem trochę usnąłem, ani mi się sniło, że w pobliżu tej wioski w miesiąc potem miano pomordować nieszczęsnych Anglików z przerażeniem całej Europy. Mnie strzegł mój anioł, i dzięki mu za to!

W r a n a 10. W r z e ś n i a. O świcie na koń i z Wrany do Maratonu. — W godzinę byłem na polu bitwy jak na dłoni rozłożonem... zatoka amfiteatralna jak szafir ruchomy... kurhan samotny na polu bitwy — słów nietrwonię — dośpiewaj sobie resztę.

Powrót wzgórzami Pantelikonu — miejscina Maraton, potem dolina pięciu Platanów przepysznych, olbrzymich, między nimi źródło dziewicze .. a! tu był dialog Fedrusa? wszak pod Platanami... tylko co odeszli!.. Podobnych Platanów niewidziałem więcej, tylko w wyschłym łożu Sarandapotamu, które przejechałem w miesiąc później, Dalej Kefisia w prześlicznej rzucona dolinie. Platan także olbrzym króluje na jej placu, i wszystkich mieszkańców, pokolenia, które przestał i wypiastował, gromadzi w swym cieniu... Zboczyłem do groty nimf — jest to źródło w małej jaskini, wśród ślicznej flory i zieleni, tajemniczo w skałach ukryte — przypomniało mi ulubione ustronie Egerji rzymskiej; ale tu mniej sztuki, tylko szczątki jednej zwałonej kolumny bezimiennej... ale za to bogactwo natury. jakieś niebieskie dzwonki i bluszcze namiętnie zwieszają się po skałach z wdziękiem niewypowiedzianej smętności... Powrót do Aten o zachodzie słońca. Znużenie bajeczne bo to pierwsza wyprawa. Wieczór u państwa A... wiele muzyki — przyjemności — wesołości.

Ateny 11. Września. Rano układy z Agoją o późniejszą podróż. Począł mi tak dobitnie dowodzić, że jego rywal Dżordzi nic nie wie i nie umie, że jest tchórz, kłamca i karciarz, że drapnie z żandarmami skoro się zbójcy pokażą, że się zaturbowałem czy go wziąć? Kawał z grzywy mego konia wziąłem na pamiątkę. Wieczór o siódmej odpłynąłem do Krety. Noc ładna na morzu — księżyc, sen. O piątej rano u wyspy Syry Loyd zarzucił kotwicę. Zbudzony brzękiem lecących w morze łańcuchów — wstałem i przeniosłem się na drugi okręt płynący wprost do Kanei. Cały dzień stałimy w miejscu. Wylądowałem by Syrę zobaczyć. Rzucona dziko jak gniazdo piratów — spalona, ogorzała poszarpana dzikimi skał kontury bursztynowo błyszczącymi — wyzierającymi tu i tam aksamitnym zielonym basztanem trawy, jeżeli go głązy z góry lecące dudniąc i rozpryskując się nie przysypały .. Miasto Skyros dawne leży stromo no skale, (podobnie jak Lizbona), Syra zaś nowa, rozsiana w dole z katedrą na górze wzniesioną, najwyżej panujący nad morzem zamek w gruzach i bezbrzeżność widoków. Homer sławił Syrę. Syra piękna — ale to nie moje drogie i prześliczne Korfu, którego niezapomnę. Rola Syry w ostatniej walce Greków nienależy do świetnych.. Rynek miasta prześliczny o kwadratowej kolumnadzie — w środku mnóstwo Turków i Greków z nargilami siedzą swobodnie — mozaika głów i strojów na błękitnie mórz i nieba, — domy piętrzą się po sobie — mnóstwo zieleności — cecha już przeważnie wschodnio turecka. Wieczorem odpłynęliśmy do Krety. Słońce zaszło chmurnie, księżyc zszedł smutny i nieśmiało... Zszedłem na dół do kabiny, by tych parę słów napisać, i dalej przepisywać kwartet Bethowena, pożyczony z Rzymu do studjowania i skopjowania. Zasnąłem, po długiej gawędzie z Grekiem o sprawach Grecji i Polski. — Za-

rzucaliśmy się pytaniami. Pytał o ludność i straty Polski w 1864, i rzekł mi że ludność Kreta wynosi 200.050, a straty ma około 60.000. ludzi. Bisurmanie wynieśli się wśród tej rozmowy z kabiny, inni posnęli...

Kreta 13 Września 1869. Rano zbudziłem się u lądu Kreta. Powiedziano, że przyszła wieść o śmierci Napoleona III. Mała strata, krótki żal. Wyszędłem na pokład. To królowa wysp Archipelagu! Forteca turecka biegnie brzegiem jak wąż — stare domy i minarety. Nieładowałem — odpłynęliśmy dalej ku Retimo. Wiatr zaczął się zrywać, okręt latać, wszyscy prócz mnie chorowali; przepisywałem dalej kwartet, potem wyszedłem znowu na pokład, poranek mimo wichru prześliczny, ani chmurki, szafir fal bryzgał srebrną pianą — a góry Kreta wspaniałe i skaliste, otoczone aureolami drżącego eteru, jak w złotych turbanach leciały w dal, coraz błękitniejąc szczyty piramidalnemi i rysując się dziko, zemiasto.. Koloryt tła słonecznego lito przyodział wysp królowę w szafirach stopy kąpiącą — czoło jej w promieniach i rozmarzona pyta nieba, dokąd jeszcze mam być niewolnicą? U dołu rozestlane szerokie wioski bieleją w gajach oliwnych i mirtowych, nic wdzięczniejszego jak ich harmonijne rozsypanie po skałach Kreta. Dęło jednak za silnie, zaczęło mi być ckliwo, i zszędłem nieco na dół. Grek któregom na śniadanie zaprosił, zaczął mi wszystkie swoje osobliwości prezentować, dywan smyrneński śliczny dla swej oblubienicy, tytoń turecki w armacie skurzaney, psa buldoka i kuropatwę w klatce, o której dowodził, że ślicznie śpiewa.. — Tu Turek leżący w górze zaczął tak śmiesznie chorować, że m parsknął ze śmiechu, za co się obraził i rzekł patetycznie do Greka po turecku, „że jestem twardego serca“. Dobrze i to wiedzieć na twarde czasy...

Wróciłem na pokład. Ten przedstawiał w tej chwili całą wspaniałość ruchomego obrazu rodzajowego o świetle zachwycającem. Obraz pełen małych obrazków i odcieni, wszystko pełne ruchu i charakterystki życia. Na przodzie okrętu, który kończył się złotą syreną, leżała w słońcu grupa chłopców okrętowych, spiących w nieładzie największym, prawie nagich, o ciałach brązowych, bez czapek, z twarzami i głowami w samem słońcu spiąc z rozwartemi ustami jedni przy drugich, posplatani przy sobie w najrozmaitszych pozach, na płótnach masztów, na okręgach lin okrętowych, wszędzie leżeli; niżej stary żyd z siwą brodą, oparł głowę o jakieś futerko i siedząc usiłował drzymać.. Śliczna to była głowa Rembrandowska na tle futerka. Obok niego trzech Turków ubogich w poszarpanych strojach i fezach, rozmawiali siedząc z nogami na krzyż. Jeden najpiękniejszy — na rozłożonym dywanie klęczał, zwrócony ku Mecce czołem dotykając desek — to się podnosząc ku niebu, modlił się. Ta modlitwa musiała iść w górę. Postać jego patriarchę przypominała

Abrahama... Szaty jaskrawe spływały na dywan drapując się w ładnym nieładzie... Tuż obok dwa olbrzymie kojce z mnóstwem kokoszy, odzywających się gdakaniem z głębi swego areopagu, wyglądających wciąż z między szczeblów, dziubiąc ziarno i pijąc najkomiczniej. Dalej kilka kobiet greckich z spiącymi dziećmi, troje ich razem ślicznie spało — — z przeciwnej strony w środku pokładu, stał piękny koń Paszy kasztanowaty, uwiązany u masztu w zbitej na prędce klatce — ciągle tupał i rzał, tak go ruch okrętu mieszał, śliczną miał grzywę i oko iskrzące, a na szyi sznur z niebieskiego jedwabiu, z pół księżycem z dwóch kłów dzika srebrem w ten kształt spojonych; wyżej w przecięciu okrętu majtkowie jak mrówki niebieskie w swych bluzach, snuli się ciągnąc liny i łańcuchy; dalej kupa towarów, kufrów, dywanów i wszelkich rupieci chaosem po sobie rzuconych. Nad tem wszystkim na tle komina czarny i wysoki kapitan jak bocian, przy busoli z lunetą wciąż śledzący ruch okrętu; poniżej dama francuzka z dziećmi i boną, bardzo elegancka; nieco dalej siedział stary Pasza i syn jego w strojach wspaniałych paląc fajki — a obok w przegrodzie całej harem baszy, złożony tylko... z 24. kobiet, siedzących na ziemi w czarnych strojach, siedzących i leżących na dywanach leniwie, wszystkie miały woale twarz osłaniające, ale przejrzyste, o rysach pięknych, bardzo pięknych! ale wyrazie głupim i bestialnym, a tak apatycznym i chytrym zarazem, jaki musi mieć każda istota nieszczęsna, praw ludzkich i obywatelskich pozbawiona. Widziałem je blisko i doskonale — rozmawiały dość żywo, przedzielone koszarą jak owce i konie. Basza i syn spali w I klasie, harem na pokładzie pod gołem niebem.. Szczebiotały wciąż jak ptaki, gdy wiatr odsłonił której welon, prędko go zasłaniała, uważałem jednak że najgorliwiej zasłaniały się tylko te, co były brzydkie... Jedna, i ta oczewiście piękna, tak była podobną do Pani S. M. że o mało co z roztargnienia nie ukloniłem jej się. Przy nich było parę murzynek, ich niewolnic, okropne i ohydne, i także tych niewolnic biedne córki... Jedna około lat 14, tłuła nogą w pantoflu orzechy, które żuła jak małpa, patrząc i mrugając przed siebie. Na dużym dywanie w tureckie palmy, bawiły się paszowskie dzieci, było ich ze siedmioro, o tureckich rysach, woskowych twarzach, nagie prawie, wywracały kozły, biły się, i chowały, krzycząc jak koty. Jeden młody murzynek rodzaj ich dozorca i belfra, był ich ofiarą... sterczał najwyższy nad nimi, wcale nie brzydki w papuzim stroju, jak jeden z trzech króli Wita Stwosza, przez tych bębnow bity i targany, szczypany i kulakowany; biedny ten chłopczyna, na wszystkie ich okrucieństwa odpowiadał uśmiechem i łagodnymi pieszczotami, spoglądając bojaźliwie w około. Snać już dużo wycierpiał, kiedy z tym uśmiechem znosić bole umiał. Przy nim leżał buldog szary, równie przez dzieci tyranizowany i cierpliwy. Płakać mi się chciało, że nie mogłem tym razem kupić ani tego murzyna ani bul-

dogą, by im dać wolność. I pojąłem jak Mojżesz w oburzeniu szlachetnem przyszedł do zabicia onego Egipcjarina co się pastwił nad bracią. Na środku grubo obwisły Pasza rozmawiał z kapitanem, a młody prześliczny chłopiec, mąż połowy tych pań, syn Paszy, stał samotny, oparty o poręcz pokładu, patrząc smutnie z balkonu na morze. — Był prawdziwie piękny, o wschodnich rysach, ale blady i nie opalony, w szerokich pludrach niebieskich i granatowym żupanie złoto haftowanym, z fezem o śnieżnomalinowym turbanie, w ręce, na której małym palcu migał śliczny sygnet arabskiej oprawy, trzymał niedbale fajkę o wspaniałym bursztynie, której nie palił — włosy dłuższe czarne i krucze miał oko ogromne a łagodne, i zdał się smutny, był najpiękniejszy z tej grupy i bardzo zmizerowany... Niedaleko, siedziały gawędząc dwie stare kobiety pergaminowe, rozczochrane i poszarpane — przy nich leżał Turek śpiący z ogromnym wąsem — wśród tego kilku Europejczyków o fizjonomiach kupieckich a wyrazie Reaumura na zerze... tuż dwóch kucharzy w strojach niewinności i szlafmycach... i czarna koza wyjadająca incognito obrok z niskiego złobu, przy którym stał upięty koń Paszy zawsze parskający i czasem gniewnie patrzący na kozę — ta zaś śpięta do złobu śpieszyła się jak mogła na tym urzędzie... W oddali piwnoloka Angielka chorująca, i jakiś turysta niemiec chorujący przez sympatję rycerską dla niej — w kąciku pod poręczą przy kojcu, spało dwoje szczeniąt okrętowych z którymi igrał mały Bachusik, dziecko majtka, i przyszły majtek, współzawodnik burzy... parę gołębi chodziło po pokładzie, dziubiąc co Bóg dał, to wszystko w największym ruchu. Stałem spokojnie, patrząc samotny na ten gwar życia i morze rozbijające się srebrnymi piany u skał Krety, pod której biodra przesuwaliśmy się ciągle. Girlandy mew białych splatały się i rozplatały na niebie lecąc za stadkami i łowiąc ryby w mętnej wodzie... Dwóch młodych Greków w strojach narodowych leżało na wspólnej burce — siadłem przy nich, i jak zwykle u mnie, znajomość zrobiła się błyskawicą, bo nienawidzę powolnych znajomości o beczce soli. Uprzejmi Grecy ofiarowali mi kawał swej burki, i wesoła zawiązała się rozmowa, wkrótce pełna żartów i wybryków podróżniczych. Wstawszy potem, widziałem kilku Delfinów, prawdziwe typy wesołości i pustoty. Pływały jak szalone, galopując, przeskakując w powietrzu fale a wyrzucając fontanny wody nozdrzami. Majtek nucący coś u koła okrętowego powiedział mi, że Delfin to przyjaciel człowieka, na czym to oparte? na tradycji. Czyżby na niej oparty Rafael zrobił jedną z dwóch jedynych swoich rzeźb: Delfina unoszącego morzem na grzbiecie rannego chłopczykę?! Było ich ze sześć, szybkość z jaką równały się z okrętem, była bajeczna — widno ich było wybornie w przejrzystej głębinie słońcem ozłoconej — kiedy się unosiły w powietrze, jeden Grek strzelił do nich ze starego samopału o krzemieniu i utrzymywał, że Delfin



poszedł na dno i wodę zafarbował — musiał mieć białą krew bo jej nikt nie widział. Delfiny spłoszone uszły przed ludzmi, i miały rację. Zszedłem na dół i zasnąłem — śnił mi się K. Ześmy się żegnali na szerokich schodach jakiegoś gmachu i mówił mi, idź spotkasz tam zgromadzonych wszystkich tych których kochałeś a utraciłeś... kiedy zgrzyt spadającej kotwicy zbudził mnie na nowo. Byliśmy w Retimo, które leży na skale stromej w rodzaju Sorrento, ale o wiele mniej pięknie, bo niema tego kolorytu gajów zielonolitych, które Sorrento czynią perłą Sykulską... Retimo prócz zwykłych bazarów, ma parę ładnych minaretów. Niedługośmy stali, napisawszy cztery listy syt jestem pisania; już się ściemnia; zapalono lampę, wicher znowu rośnie i będzie burza. Płyniemy. Zeszło do kabiny trzech Turków, zaczęli z dużej faski wielkimi łyżkami zajadać kawior — i narobili takiego fetoru migdałowo cynamonowo niewiem już jakiego, że trzeba było emigrować z kabiny. Za parę godzin będziemy w Kanei nie będzie trzeba spać jak pies, bo jest tam Khani, zwany hotelem Radamante.

Kanea 14. Września. Wczoraj wylądowałem w Kanei, półkolem na piaskach rzuconej — bardzo uroczo. Weszliśmy do fortecy, Turcy wzięli mój paszport czytając go do góry nogami i tysiące głupich pytań zadając. Otóż i ów Radamante! Spałem jak drzewo i nic nie jadłem, za to byłem jedzony... Okno śliczne na morze, więc wszystko dobrze. Pokój jednak hałaśliwy i wspólny jak fosse commune...

Spało w nim trzech Turków, jeden Grek, dwaj Francuzi, pop schizmatyczny, kucharz i zielona papuga. Cały dzień nazajutrz zszedł spokojnie. Nieruszałem się przecie. Z Grekiem Antonio parę małych wycieczek, kąpiel ożywcza w morzu, kawiarnie, fajki, obiad, przekłete pomidory w każdej potrawie. Cały dzień w oknie. Morze!

16. Września Kanea. Khalepa. Rano spacer i kąpiel. Potem z jednym Francuzem wyszliśmy z fortecy. Tam go pożegnawszy, mimo jego roztropnych perswazji. sam jak zwykle, pieszo postanowiłem puścić się do wsi Khalepa, sławnej położeniem, a dziś ulubionem ustroniem autorki Elpis Melena, znany pseudonim pani Schwarz, jednej z najniepospolitszych córek Albionu. Droga ta piesza i samotna oczarowała mnie, za mną została Kanea z swemi minaretami cudnie rozłożona. Dalej olbrzymia płaszczyna piaszczysta, na którą grzmiąc wybiegały balwany Kretskiego morza, z spienionemi paszczami w półkole się zataczając, tak, że czasem piana ich dotykała moich stóp. Szedłem dalej nie zważając. Przedemną wstawały wzgórza na których rozrzucone domki wsi Khalepy, w dole, osada Maurów i Murzynów, dalej Beduini w namiotach i słomianych budach z gliny słońcem wypalanej, najwyżej nad tem Khalepa w ogrodach

bardzo pooddalanych od siebie, między niemi spalone, rude płaszczyzny o zgrzytającym zwirze. Nad tem przepyszne góry otulone aureolami światel błękitnych i złotych. Zatrzymywałem się często patrząc z podziwieniem na morze z Krety, która jest średnicą świata, jego części w koło niej leżą ugrupowane. Czasem pozdrawiałem dzikich mieszkańców, otrzymując wiekuiste *kali mera* (dzień dobry.) Błądziłem długo, szukając willi *Elpis Meleny*, z listem z Rzymu, który *abbè Liszt* kazał jej oddać pod karą śmierci... Wreszcie, idąc drogą żółtą, spaloną, sadzoną szpalerem olbrzymich aloesów, trafiłem Jeżeli cię kiedy zapomnę o gościnny przybytku, niech zapomnianą będzie pamięć moja! Kazałem oddać list. Znałem *Elpis* z opowiadań, z dzieł jej czytałem: „Sto jeden dzień na moim koniu“, „Wędrowki hiszpańskiego tatarza“ książkę o *Kanei*, i „Tancerza na szczydłach“ który mnie zachwycił; znałem jej stosunki z *Garibaldim* i wygnanie z Rzymu; wiedziałem z opowiadań *Liszta* który narysował mi jej sylwetkę, że przybyła tu dla niesienia pomocy nieszczęśliwym *Kreteńczykom* i dla zerwania z światem. Głównie zaś z słów niektórych matron rzymskich, które ją niecierpiały, musiałem wniesć mimowolnie, że to piękna dusza... Po chwili proszono mnie na górę. Wchodzę, zastałem damę biało ubraną o czarnych lokach i oczach, piszącą i pełną dystyngowanej prostoty. Na końcu świata *angielkę* uroczy poznać w niej można było. Przyjęła mnie jak brata. Po chwili byliśmy tak dawni znajomi, że niemieliśmy sobie co nowego powiedzieć. Po pierwszej rozmowie o *Rzymie* i *Francji*, zajęła się najgościnniej moim pobytem. Zaprowadziła do konsula włoskiego *Coluchi* i do Greka pana *Ligunes*, który zaraz najuprzejmiej zaprosił do siebie, wiedząc że *Elpis* niema gościnnych pokoi. Po godzinie odprowadziłem *Elpis* do domu, gdzie też na wieczór przyszli *Ligunes* z żoną i dziećmi, *Coluchi* konsul włoski z żoną i *Leonidas Fraugudis* konsul grecki (dziś w *Tryeście*) który mi dał potem wiele dowodów najdelikatniejszej przyjaźni. Czem i kiedy się odwdzięczę? smutno być dłużnikiem. Zawiązała się miła i wesola rozmowa, której po częściej byłem *Ulissesem*. Wreszcie proszono bym grał, po dwu miesiącach włóczęgi, odegrałem rapsodję II i sonatę *Bethowena d'moll*, na pianinie angielskiem.....

16. Września *Khalepa*. Pan *Ligunes* urządził mi wyborny pokoi, spałem do 12. Sam przyniósł mi kawę do łóżka z patryarchalną prostotą ten Grek, który ofiarował półmiliona swego kapitału do przekopania *Koryneckiej cieśniny*. Mówiliśmy wiele i o wszystkim, głównie o *Grecji* i nieszczęsnej *Krecie*. Wielkie sympatje dla *Polski*, ale naiwność i nieświadomość o jej rzeczach, przedpotopowa.

Pani *Ligunes* pełna dobroci, sama drobnymi paluszkami obszyła mój kapelusz muslinowym tarbuszem, który wszyscy tam noszą od uderzeń słońca. — Przypomniała mi *Penelopę*. —

Wróciłem do Elpis, która zaprosiła mnie na codzień z prawdziwie polską gościnnością. Dzień zszedł szybko i mile, Elpis śpiewała mi kilka pieśni Szumana, potem zeszliśmy ku jej winnicy, schodzącej łagodnie ku morzu. Pokazała mi białego swego konia, pasącego się swobodnie i skubiącego winnegrona, równie kożę sąsiada, szkodnicę, którą jednak Grek, jej ogrodnik, tolerując szkodę, za każdym pobytem wydoił, potem puszczał do domu. Z balkonu, stojąc w dużym oknie, patrzyliśmy na zachód słońca, które zwolna, rubinową drogą staczało się w spienione fale; góry na chwilę z pod śniegów oświecone zdały się jak rozpalone żelazo, po czym cisza, wiew łagodny, szybki mrok i księżyc w pełni zaczął wstawać z nad gór, nad ciszą morza osnuwając kontury świata złotymi tłami, pełnemi czaru i litych blasków.... Rozmawialiśmy długo, morze szumiało w oddali zataczając u brzegu półkola osrebrzone księżycem, i tak wyraźnie głosy nas dolatywały od brzegu, jak słowa dawnych znajomych, których wskrzesaliśmy w pamięci.... Nazajutrz mieliśmy wyruszyć konno dla zwiedzenia labiryntu zwanego grobem Jowisza, monasteru katolików, ślicznej groty niedźwiedzia, wybrzeża kędy burza wyrzuciła Śgo Pawła, wieniec nieśmiertlnych gruzów, bohaterów Arkadji i źródło Lety, którego fale dni tych nie uśmierciły przed oczyma duszy mojej....